Cena 20 gr.

STALOWY MIECZ

ROK 1. 1 SIERPNIA 1936. Nr. 10

Gdy słowa ukrywają pustkę

Słowo jest najważniejszem narzędziem działania politycznego. Natchnione polotem wielkiej idei, ogrzane ciepłem praw dziwnej wiary działa cuda. Słabym i zmęczonym użycza niewyczerpanych zasobów energji, egoistów przemienia w ofiarnych pracowników, w tchórzach wyzwala porywy entuzjazmu i bohaterstwa.

Ale od najwznioślejszych słów lepsze jest milczenie, gdy w sercach oratorów braknie wiary, a w mózgach zamiast wielkich i jasnych idei panuje pustka albo chaos.

Słowa, których jedynym zadaniem jest sztuczna inscenizacja takich czy innych nastrojów nie tylko nie prowadzą do celu, ale wyrządzają dobru powszechnemu niepowetowane szkody. To, co powinno być wyrazem rzetelnej treści ideowej, prawdziwych uniesień i wysokiego poczucia odpowiedzialności idzie w tłum ludzki nakształt fałszywej monety, podrywa jeszcze bardziej wiarę, niszczy zaufanie, pogłębia marazm i zniechęcenie.

Od kilku tygodni jesteśmy świadkami przykrego widowiska. Z łamów pewnej części prasy sanacyjnej padają codziennie coraz głośniejsze, coraz bardziej patetyczne słowa i hasła: „koncentracja sił narodowych", front obrony narodowej, jedność narodowa...

Piękne i wzniosłe słowa. Gdyby były wyrazem prawdziwej, bezkompromisowej treści ideowej mogłyby się stać początkiem wielkiej, pozytywnej przemiany w polskiej polityce państwowej.

Niestety wiemy wszyscy, że za temi słowami, jak dotychczas kryje się tylko wykalkulowana na zimno chęć osiągnięcia doraźnego efektu. By skokietować społeczeństwo pisze się o „koncentracji sił narodowych" a myśli się tylko o utrzymaniu dotychczasowego stanu posiadania, mówi się o „jedności narodowej" a rozumie się tę „jedność", jako posłuch dla trzymającej wszystko w rękach elity, taksamo jak pisało się kiedyś — „sanacja moralna" a myślało się tylko o utrzymaniu władzy.

I dlatego słowa te, choćby najgłośniej były wypowiadane i zaopatrzone w największą ilość wykrzykników nie trafią do serc i umysłów masy narodowej. Pozostaną tak długo pustym dźwiękiem bez echa i odezwu, jak długo nie podejmą ją ludzie wielkiej idei i prawdziwej wiary.

Polska i Gdańsk

Wystąpienie prezydenta senatu gdańskiego w Genewie jest poważnem ostrzeżeniem nie tylko dla Ligi Narodów, ale i dla Polski.

Wprawdzie w brutalnem i napastliwem przemówieniu Greisera, wymierzonem w Ligę, znalazły się grzeczne słówka pod adresem naszego rządu, ale sama istota dążeń obecnego senatu, oraz powody, dla których dążenia te się ujawniły, wskazują bardzo wyraźnie, o co chodzi.

Chodzi o to, aby podważyć tę część Traktatu Wersalskiego, na zasadzie której Wolne Miasto powstało, chodzi o próbę stworzenia ważnego etapu na drodze do rozluźnienia prawnego związku Gdańska nietylko z Ligą Narodów, ale w dalszem następstwie, z Polską, chodzi wreszcie, o ułatwienie położenia na Gdańsku ręki niemieckiej.

W ten sposób zrozumiała incydent genewski nietylko opinja polska, ale i rządy Francji oraz Wielkiej Brytanji, skoro podjęły one w poniedziałek interwencję dyplomatyczną w Berlinie, wyrażając swoje zaniepokojenie z powodu wystąpienia Greisera.

Niemiecki urząd spraw zagranicznych zapewnił ambasadora francuskiego i chargé d'affaires brytyjskiebo, że rząd niemiecki nie poczyni żadnych kroków, któreby mogły wnieść zamieszanie do sytuacji międzynarodowej. Zapewnienie to, o ile zostanie dotrzymane w całej rozciągłości, wpłynie uspokajająco na sytuację wytworzoną przez prezydenta Greisera i zreflektuje, być może, większość hitlerowską senatu gdańskiego.

Większość ta bowiem coraz bardziej zdaje się zapominać, czem jest Wolne Miasto i w jakim celu zostało powołane do życia.

Polska na zasadzie praw historycznych i ze względu na swoje konieczności geo - polityczne, żądała na kongresie pokojowym zwrotu Gdańska. żądanie to było na tyle uzasadnione, że Gdańsk pierwotnie został nam przyznany. Dopiero w drugiem stadjum prac kongresowych, na skutek nacisku polityki angielskiej i zabiegów światowych kół żydowskich, Gdańsk został przekształcony na wolne miasto, a jego stosunki z Polską jak i jego konstytucja zostały oddane pod opiekę Ligi Narodów.

Takie załatwienie sprawy wymierzone było nie w interesy niemieckie, Rzesza bowiem Gdańska się zrzekła, ale ograniczało prawo polskie. Musieliśmy i na te ograniczenia przystać, ale cała Polska zgodnie je uznała za kres ustępstw, jakie w tej żywotnej dla nas sprawie mogą być z naszej strony uczynione.

Przez cały czas lojalnie szanowaliśmy postanowienia traktatu i nigdy nie naruszyliśmy uprawnień Wolnego Miasta. Usiłowaliśmy w ramach tych uprawnień utrzymywać dobre stosunki z jego ludnością, nieraz szliśmy jej na rękę i przyczynialiśmy się do wzrostu jej pomyślności. Nie znaczy to jednak, abyśmy kiedykolwiek i pod jakimkolwiek pozorem zamierzali wyrzec się naszych praw do Gdańska.

Sprawa Gdańska jest dla nas czemś znacznie większem, niż „wolny dostęp do morza". Jest ona kwestją związaną z naszem trwałem pozostaniem nad morzem, z naszem rozpoczętem jeszcze za Piastów dążeniem do wybrzeża morskiego, z naszą tysiącletnią historją.

Nigdy przeto nie zgodzimy się na to, aby wykonywanie naszych spraw w Gdańsku zależne było od widzimisię władz Wolnego Miasta, lub woli Rzeszy Niemieckiej. Zapamiętaliśmy sobie dobrze słowa Fryderyka Wielkiego, że ten, kto trzyma Gdańsk bardziej jest panem Polski, niż król panujący w Warszawie.

Dlatego też jedyną zmianą zasad, regulujących nasz obecny stosunek z Gdańskiem, na jaką moglibyśmy

się zgodzić, jest zmiana na rzecz rozszerzenia naszych uprawnień w Wolnem Mieście i powrotu do historycznych form tego stosunku oraz do pierwotnych postanowień kongresu pokojowego.

Jeśli prezydent Greiser uważa, że obecny statut Gdańska przysparza Miastu wiele kłopotów, że wpływa niekorzystnie na jego wewnętrzne polityczne stosunki, to trzeba mu powiedzieć otwarcie, że w naszem przekonaniu najlepszem wyjściem byłoby wcielenie Gdańska do Polski.

Trzeba, bowiem, aby nas dobrze zrozumiano. Kwestja Gdańska jest dla nas jednem z najistotniejszych i najżywotniejszych zagadnień. Wiele poświęcimy i na wiele się ważymy, aby nie pozwolić na jej załatwienie przeciwko nam.

G. W.

Zagadnienie kolonji

Od czasu pamiętnej deklaracji min. Hoare'a, złożonej we wrześniu roku zeszłego w Genewie, w sprawie nowego podziału terytorjów kolonjalnych i surowców, sprawa ta nie schodzi z porządku dziennego w Anglji. Podtrzymuje ją na powierzchni fakt, że Niemcy, jako najbliższy warunek swego „równouprawnienia" wśród społeczności narodów uważają zwrot zabranych im po wojnie kolonij. Ponieważ największe i najbardziej wartościowe posiadłości zamorskie Niemiec otrzymała w postaci t. zw. „mandatów" W. Brytanja, więc nic dziwnego, że to nowe żądanie Niemiec najbardziej preokupuje opinję angielską.

Rząd nie wypowiada się wyraźnie, na pytania stawiane w parlamencie ministrowie odpowiadają w sposób wymijający zagadnienie centralne. Z odpowiedzi tych wszakże zdaje się wynikać, że o oddaniu czegokolwiek z dawnych posiadłości brytyjskich mowy być nie może, nie przeciwstawianoby się natomiast tak stanowczo poddaniu rewizji podziału t. zw. „mandatów", gdyby wzamian za to można było osiągnąć stabilizację stosunków na kontynencie europejskim i długotrwały pokój.

Opinja publiczna jest w swej większości stanowczo przeciwna oddaniu czegokolwiek z tego, co dziś jest pod panowaniem Anglji. Konserwatyści oświadczają krótko i węzłowato, że nie należy wyrzekać się niczego i trzymać mocno to, co się posiada. Liberałowie i wszelkiego rodzaju postępowcy obstają przy mniemaniu, że zarząd kolonjami jest obowiązkiem, który Anglja wzięła na siebie i że uczciwość nakazuje jej od wypełnienia tego obowiązku się nie uchylać, a to tembardziej, że żaden inny naród nie potrafi dorównać Anglikom w umiejętności obchodzenia się z kolonjami.

Są wprawdzie w Anglji pacyfiści i humanitaryści, którzy wogóle uważają władanie kolonjami na niebezpieczne i nieetyczne i pragnęliby, ażeby naród angielski wyrzekł się wszelkich posiadłości kolonjalnych. Zwracają oni uwagę na fakt, że Anglja rozciągnęła swoje panowanie nad czwartą częścią globu ziemskiego, że na tem terytorjum mieszka około 500 miljonów ludzi, z czego około 400 miljonów ma skórę kolorową. Powiadają dalej, że jest rzeczą wielce niebezpieczną to, że posiadłości kolonjalne mają tylko trzy państwa wielkie (Anglja, Francja i Stany Zjednoczone), oraz trzy państwa małe (Holandja, Belgja i Portugalja), co stwarza sytuację niebezpieczną, bo inne państwa czują się pokrzywdzone i zaczynają myśleć o nowym podziale posiadłości zamorskich. Świadczy o tem ekspansja Japończyków na kontynencie azjatyckim, wyprawa afrykańska Włoch i postulaty kolonjalne niemieckie...

Zaznaczone powyżej tendencje obchodzą oczywiście najbardziej te wielkie mocarstwa, które podzieliły między siebie terytorja kononjalne, a wśród nich w pierwszej linji Anglję, której potęgę stanowi jej Imperjum światowe, dla której utrzymanie tego Imperjum jest poprostu kwestją życia i rozwoju. Lecz sprawą podziału kolonji i surowców interesować się muszą wszystkie państwa i narody europejskie. Chodzi tu bowiem nietylko o wartości materjalne, jakich mogą dostarczyć kolonje, i o terytorja dla umieszczenia nadmiaru ludności lub przyrostu tejże ludności, lecz także o względy polityczne i moralne oraz o pozycję na oceanach.

Spojrzyjmy na tę sprawę z punktu widzenia Polski — kraj nasz potrzebuje surowców dla swego przemysłu, posiada kilkaset tysięcy przyrostu naturalnego rocznie, chce się zaznaczyć jako potęga morska i mieć swoją flotę handlową. Dla tego są nam także potrzebne posiadłości kolonjalne, dlatego w chwili gdy zagadnienie kolonji stanie na porządku dziennym w polityce światowej, a do tego przyjdzie niewątpliwie w najbliższej przyszłości, musimy nietylko stanąć wśród innych państw i zgłosić swoje postulaty, lecz także być przygotowanymi do tego, by wiedzieć, czego żądać i w jaki sposób swoje żądania uzasadniać i jakiemi drogami iść do ich urzeczywistnienia.

Pomoc Wielkopolski

Zrastanie się dzielnic Polski po wskrzeszeniu Rzeczypospolitej budziło i budzi podziw naszych sąsiadów. Bracia, rozłączeni przez gwałt zaborców znowu znaleźli się pod wpólnym dachem i bez wewnętrznych wstrząsów zabrali się do zgodnej pracy. Rozumiemy podziw obcych, ale sami widzieć musimy pewne niedociągnięcia w tej właśnie dziedzinie. I Wielkopolska i Pomorze słusznie narzekają na obsadzanie urzędów w tych dzielnicach przez ludzi, pochodzących z innych części Polski. Dawniej widoczna była tu w urzędach wszelkiego rodzaju, przewaga Małopolan, obecnie podobną górą są Królewiacy. Ludzie zaś miejscowi, lepiej znający stosunki tamtejsze, niestety tylko w nikłym procencie zajmują stanowiska administracyjne i inne, opłacane przez Państwo. Jeśli w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości liczono się z brakiem odpowiednio wyszkolonych kadr urzędniczych, miejscowego pochodzenia, to dziś argument ten całkowicie odpada. Polityka zaś nieufności budzi tu niepotrzebne rozgoryczenie, któremu daje wyraz prasa dzielnic zachodnich.

Wogóle zaś wskutek tych przyczyn oraz wielce odmiennych warunków gospodarczych, przyzwyczajeń i sposobów pracy — pomiędzy Wielkopolską i Pomorzem a resztą Polski istniał doniedawna mur uprzedzeń. Wielkopolanie nie śpieszyli wysuwać się poza rubieże swej dzielnicy, nawet wówczas, gdy byli pożądani. Kongresówka i Małopolska oraz Kresy Wschodnie spodziewały się, że doświadczony Zachód Polski weźmie żywy udział w gospodarczem odrodzeniu województw centralnych i wchodnich. Tymczasem w Wielkopolsce panowało przekonanie, że praca na tych właśnie terenach nie rokuje w obecnych warunkach powodzenia. Być może, że nieufność taka nie była bezpodstawna. Na szczęście dziś następuje już bardzo wyraźna zmiana. Wielkopolanie i częściowo Pomorzanie zaczynają interesować się bliżej Kongresówką. Walka o unarodowienie handlu znalazła wśród nich głęboki oddźwięk.

Obecnie coraz częściej kupcy z Wielkopolski zakładają w miastach i miasteczkach Kongresówki sklepy, rzemieślnicy zaś warsztaty swej pracy. Okazało się, że jest to „ziemia obiecana” — dla polskiego kupca - fachowca — oświadczają wielkopolscy pionierzy naszego handlu. Ludność polska popiera energicznie sklepy polskie i przedsiębiorstwa oraz zaczyna zabiegać o ich powstanie. Widząc nowe placówki polskie silne i prowadzone umiejętnie, sama się zachęca do działalności w tym kierunku, szanuje w Wielkopolanach swych mistrzów i kierowników w dziedzinie handlu. O ile wiadomo ekspansja wielkopolska narazie nie przekracza linji Wisły. Dopiero po opanowaninu terenów Kongresówki Zachodniej przyjdzie czas na dalsze posuwanie się na Wschód i Południe.

Niestety, praca tego rodzaju wymaga jeszcze sprawniejszej organizacji. Ludność Kongresówki często nie wie jeszcze w jaki sposób ma nawiązywać kontakt z kupcami i rzemieślnikami polskiemi na Zachodzie. Kupcy zaś i rzemieślnicy wielkopolscy i pomorscy niezawsze są poinformowani gdzie grunt dla ich warsztatów jest przygotowany. Zanim powstanie odpowiednia instytucja, regulująca te sprawy, ogromną rolę może odegrać prasa, podając szczegółowe informacje o warunkach dla polskiego handlu w tej czy innej okolicy. To musi być robione już teraz.

Drugą sprawą pilną jest konieczność przystąpienia do organizacji handlu hurtowego, by nowe placówki polskie nie pozostawały w zależności od pośredników i wytwórców żydowskich. Jest to narazie rzecz trudna i znowu bez pomocy Wielkopolski i jej doświadczenia inne dzielnice nie dadzą sobie rady. Nie jesteśmy narodem zamożnym, ale mimo to muszą znaleźć się środki na cele wyzwolenia gospodarczego z rąk „krajowych cudzoziemców”. Nie odrazu Kraków zbudowano. Nie w mgnieniu też oka dokona się wielkie dzieło odrodzenia gospodarczego... Zaczynamy jednak pracować w tym kierunku, i liczymy na wydatną pomoc Polski Zachodniej.

Pilne zagadnienie

Świeżo ukończony proces o zajścia w Wyszynie ujawnił przykre stosunki, jakie panowały w miejscowych organach bezpieczeństwa.

Nietylko oskarżeni, ale i świadkowie, niemal bez wyjątku, skarżyli się sądowi, że byli w śledztwie policyjnem bici i maltretowani. Los ten nie ominął nawet dzieci. Zofja i Tadeusz Sielscy zeznali przed Trybunałem, że ich sponiewierano i mocno zbito. Adwokat Borowski zanalizowowszy protokół sekcji zwłok ś. p. Wawrzyńca Sielskiego, charakter jego ran i kierunek kul, oświadczył z całą stanowczością, że na Sielskim „zostało dokonane zabójstwo“. Policjant Żychla — zdaniem obrońcy — „zabił człowieka klęczącego, duszonego gazami, prawie omdlałego, od którego nie mógł się spodziewać żadnego niebezpieczeństwa“. W tym stanie ś. p. sędzia Sielski dostał trzy kule.

Oprócz procesu wyszyńskiego mieliśmy niedawno proces odrzywolski z ujawnionem biciem chłopów i rolą w tem policji. Mieliśmy proces kościański, materjał z którego zapewne też da prokuraturze sporo tematu do rozmyślań nad stosunkami panującemi w miejscowej policji. I mieliśmy sporo innych drobniejszych procesów, odsłaniających niejedną ciemną stronę i nie jeden ponury wypadek.

Właśnie obecnie toczy się w Złoczowie proces karny przeciwko trzem posterunkowym, oskarżonym o śmiertelne pobicie aresztowanego Paprockiego, ciało którego ze związanemi rękami znaleziono później w rzece.

Ostatnio zaś mamy sprawę tajemniczej śmierci w areszcie policyjnym w Jeziornie, J. Turmandta, z której usiłowano, podobnie jak ze śmierci Sielskiego, uczynić samobójstwo.

Sekcja zwłok zmarłego zaprzeczyła stanowczo wersji samobójstwa. Ujawniła natomiast fakt barbarzyńskiego znęcania się nad aresztowanym, zgniecenia mu klatki piersiowej, połamania kończyn i zadania wielkiej rany na głowie.

Prasa doniosła, że brat zmarłego, inżynier Turmandt z „Polskiego Radja" domaga się od prokuratora aresztowania wszystkich policjantów, obecnych na posterunku w Jeziornej i Konstancinie.

Wzięliśmy garść tylko faktów ujawnionych w ostatnich dniach na łamach stołecznej prasy. Zgóry można stwierdzić, że jest to tylko cząstka tej smutnej rzeczywistości, na którą władze powinny wreszcie zwrócić baczniejszą uwagę i zabrać się do jej uzdrowienia.

Od Brześcia i od słynnej maksymy o „łamaniu kości" wlecze się ta ciężka sprawa i raz po raz nabiera nowego rumieńca. Rumieniec ten jest zarazem rumieńcem wstydu na czole ludzi, bez względu na ich przekonania i przynależność partyjną.

Trudno jest pisać o niej, ale nie można dłużej milczeć. Dłuższe milczenie doprowadziłoby bowiem do takiej przepaści pomiędzy policją i ludnością, że najofiarniejsi ludzie zasypaćby jej nie zdołali.

Należy o niej pisać nietylko w obronie poszkodowanych, nietylko w obronie honoru uczciwych policjantów przed tymi, którzy plamią ich mundur, ale przedewszystkiem w interesie państwa, gdyż pozycja władz bezpieczeństwa w opinji jest dla tego państwa sprawą wielkiej wagi.

Jeszcze przed kilkunastu laty policja cieszyła się w Polsce ogromną popularnością. Ludność była z niej dumna, a granatowy mundur spotykał się z powszechnym, niewymuszonym szacunkiem.

Dziś, niestety należy to już do przeszłości. Dzięki występnym jednostkom, ludność uogólnia fakty i wytwarza się atmosfera, w której skuteczna praca policji staćby się mogła utrudniona. Policja bowiem musi być popularna i popierana, inaczej nie podoła ciężkim zadaniom, jakie spoczywają na jej barkach.

Prokuratura przeto, i wyższe władze bezpieczeństwa powinny zwrócić baczniejszą uwagę na te głosy, które rozbrzmiewają na wszystkich niemal procesach, na te fakty, o których czytamy w dziennikach i jak najprędzej zagoić tę ranę, jaka się jątrzy w naszym organiźmie państwowym.

Nie zamierzamy wskazywać tu winnych, ani „parobków, ani prezesów". Ograniczamy się jedynie do wskazania niepokojących faktów, które naszem zdaniem, mają doniosłe znaczenie dla państwa i dla dalszego układania się stosunków w kraju.

Policji trzeba jaknajprędzej przywrócić dawne moralne stanowisko w społeczeństwie. Trzeba pod tym kątem widzenia przyjrzeć się lepiej jej kierownictwu, jej organizacji, jej rekrutacji i regulaminom.

Trzeba to uczynić, póki nie jest zapóźno. Należy bowiem pamiętać o tem, że w niedalekiej przyszłości czekać ją może ciężka walka, której w atmosferze nieufności i niechęci do siebie — nie udźwignie.

Fala czerwonej anarchji wzbiera i jej pierwsze uderzenie skierowane będzie na policyjny szaniec.

Kapitalizm socjalizm i komunizm to żydowskie dzieci

Typ Polaka

I pomimo wszelkich wysiłków tych, którzy w ciągu ostatnich dwuch stuleci starali się obniżyć typ Polaka, — typ ten przetrwał i rośnie. — Nie pomogły także oskarżenia rzucane na „szlachtę”. Dzisiaj dzielnego człowieka nie pyta nikt, kto go rodzi. Polska stapia się w jedno, w powszechnem braterstwie ludzi dobrej woli. A jeśli kto bezmyślnie nadal chce dzielić i wartościować ludzi wedle fałszywych formuł, to jest czem dzisiaj zamknąć mu gębę.

Polska segreguje się dzisiaj tylko na dwa typy Polaków: Jeden ma za cel ostateczny dostęp do pełnego żłobu, drugi dobro Polski. Pierwszy reprezentują tacy, którzy, bici wczoraj przez stupajków, mają za najwyższy ideał sami być stupajkami, „Ne daj Bože z Iwana Pana!” — oraz tacy, którzy za największą mądrość polityczną uważają z pominięciem innych i porządku prawnego, osobiste porozumienie z „prystawem”. Tych dusze istotnie pochodzą poprzez Adamów Ponińskich i Xawerych Branickich od degeneratów z czasów saskich. — Drugi typ, to szeroka rzesza, choć niegłośna, bo się nie pcha do reklamy i zaszczytów.

Kłopoty z gościem

Zdumiewający jest brak konsekwencji w postępowaniu władz angielskich. Pomijamy już stary temat, że wojny abisyńskiej dałoby się uniknąć, gdyby Wielka Brytanja okazała nieco zimnej krwi i rozsądku. Chodzi nam teraz o nieprzyzwoite postępowanie anglików z negusem.

Nie dlatego, abyśmy czuli sympatję do „króla królów”, broń Boże. Truciciel własnej ciotki, cesarzowej, truciciel nieszczęsnego Lidź Jassu i wielu innych rywali, bynajmniej nas nie entuzjazmuje, zwłaszcza po sromotnej ucieczce.

Ale, kiedy się witało głupiego murzyna salwami armatniemi w Haifie, kiedy oddało mu się do dyspozycji krążownik i sprowadziło do Londynu, to należałoby zachować pozory przyzwoitości.

Wmówiono w czarnego, że nadal jest cesarzem. Dwa dni trwały w Londynie uroczystości. Negus wykosztował się na obiad, zaprosił dyplomatów, a oni nie przyszli. Nawet Anglicy. Teraz wypędzają go z Londynu do Lozanny.

Bądź co bądź Londyn powinien pamiętać, że negus wszczął wojnę z Włochami w obronie angielskiej drogi do Indji, w obronie zagrożonego Sudanu i Egiptu. Nie zrobił tego, sam, lecz namówiony przez anglików. Uważamy więc, że pewna uprzejmość jest wskazana. *M. P.*

Różnie bywało w dziejach

Położenie obecne jest groźne, ale jak wiele rzeczy, nie jest i to bezwzględnie nowe. Trzeba oczywista brać sprawy takie odpowiednio do tła warunków społecznych i dziejowych odnośnych okresów czasu.

Przypomnę niektóre tylko uderzające fakty z minionej przeszłości.

Jednym z najświetniejszych okresów dla żydów była era przed tysiącem już prawie lat, gdy opanowali południowo - zachodnią Europę. Wykupywali nieruchomości, zatrudniali się handlem, garnęli się do władzy. W połowie XIII w. pół Paryża należało do żydów. W Londynie mieli domy, wyglądające jak królewskie pałace.

Hiszpanja... „rzekłbyś była państwem żydowskiem. Żydzi bogacili się bez miary i stanowili w niej klasę najwyższą. W ręku ich znajdował się cały handel i liczne posiadłości miejskie i wiejskie. Żydzi stroili się w jedwabie, nosili kosztowne turbany i jeździli paradnemi karetami. Zdobni w powiewne pióropusze dosiadali rumaka i przyswajali sobie obyczaje rycerskie... Po dworach dostępowali najwyższych godności i kierowali niejednokrotnie bezpośrednio nawą państwa, a miasto Toledo nosiło wśród żydów nazwę Jerozolimy hiszpańskiej".

A jednak dobre te czasy dla żydów skończyły się ich katastrofalną porażką.

W r. 1290 Anglicy wypędzają ich z granic swej wyspy, zabrawszy im całe mienie, — to samo w 1394 r. czynią Francuzi i to tym razem stanowczo i ze skutkiem — po dwukrotnych poprzednich nieudanych próbach. Daremnie pukał „wybrany naród" do bram Londynu i Paryża, daremnie słał delegatów z trzosami. Anglicy i Francuzi „zacieli się" i nie dali się przebłagać.

W Hiszpanji przewaga i panoszenie się żydowstwa dłużej trwało, ale wreszcie i tu stało się, co się stać musiało i w 1492 r. pozbyła się Hiszpanja swoich pasorzytów i ciemiężycieli.

Minęło przeszło 4 wieki, a po tych 4-ch wiekach zaświtały dla żydów czasy bujnej nadziei, a nawet pewności bezwzględnego zwycięstwa.

Narody zmiażdżone katastrofą wojenną zdawały się być podatnem polem do tryumfów żydowstwa i zaczęła się orgja w wyzyskiwaniu trudnego położenia niektórych państw, jak i zawikłań wewnętrznych.

Wojna przyniosła ze sobą groźne zniszczenie materjalne, ale co ważniejsza — fizyczne; nieszczyły ludność liczne pasorzyty i zarazki różnych epidemij, znalazły się jednak środki zaradcze, jak dezynfekcje i szczepionki i uwolniono ludzkość od zagłady.

Ta sama wojna sprowadziła niestety i najstraszniejszą zarazę, t. j. obudzoną u żydów żądzę panowania, a główny prąd ich wysiłków skierowany jest na nasze państwo, co obok opanowania materjalnego, godzi w nasze podstawowe zasady i w nasz rozwój duchowy.

Groźnie to wygląda. Nie traćmy jednak nadziei i otuchy, znajdą się i przeciw temu środki dezynfekcyjne i ochronne szczepionki. Oprócz wskazanej przez autora wymienionego artykułu walki z komunizmem, jest w narodzie nieprzebrany zasób energji życiowej i potęgi ducha, narazie przytłumianych, które ockną się i naród zagrożony w swoich świętościach i w swoim bycie, zareaguje godnie swej przeszłości i pozbędzie się pasorzyta i obcej trucizny.

Nie bójmy się liczebności tego najazdu, zaludnienie się zmieniło, wszystkich jest obecnie więcej na świecie ale procentowy stosunek żydów do ogółu ludności w Hiszpanji w czasie ich wypędzenia nie był niższy, niż jest dzisiaj w Polsce, a exodus nastąpił.

Bezsprzecznie — położenie wogóle

trudne i ciężkie, zawikłania rozliczne i zawiłe, a tem trudniejsze położenie, że cząstka naszego społeczeństwa (wprawdzie na szczęście znikoma ,ale narazie dość ważna) jest z tym obcym żywiołem zanadto blisko związana, ale i to musi być rozluźnione i rozwiązane.

Potrzeba jednak z naszej strony usilnej, wytężonej i wytrwałej solidarności, czujności, pracy, a nawet poświęcenia, a jako pouczający wskaźnik mamy przed sobą dzisiejsze Niemcy, które się od najazdu tego już zdołały uwolnić.

K.

Żywot Dyktatora

Armja wkracza do Londynu. „W zwartych, ściśniętych kolumnach, masy jej posuwają się ku sercu stolicy; twarze posępne i groźne, żadnego kapelusza, żadnego hełmu nie zdobią zielone gałęzki, jak za owem pierwotnem wkroczeniem; twardy rytm kroków maszerujących brzmi głucho na ulicach niby łoskot tysięcy stłumionych bębnów".

„Przyszło wojsko, by otrzymać sprawiedliwość, skoro banda samolubnych mędrków własną korzyść stawia ponad dobro publiczne; i zdecydowane jest pozostać, aż sprawiedliwości tej stanie się zadość [1]).

Za wojskiem grupa wysokich oficerów, otaczająca generała Cromwella. Jadą w milczeniu. „Twardszy jeszcze niż u innych jest blask jego oczu, jeszcze surowsza linja zaciśniętych ust". Wiele się zmieniło od dnia, kiedy na czele armji wjeżdżał do stolicy jako tryumfator nad potęgą tyranji, witany radośnie przez ludność. Niewdzięcznością mu odpłacono. Przybywa teraz, by wymierzyć sobie sprawiedliwość. Dziwne są koleje fortuny: on, który stał kiedyś w pierwszym szeregu obrońców parlamentu, jako wyraziciela woli ludu, przybywa teraz, aby ten parlament zmiażdżyć ciężarem oddanej sobie armji. Przed nim otworem stoi droga do sławy, do zaszczytów, do wpływów — do władzy. „Najdalej dochodzi ten, kto nie wie dokąd zmierza". Fakty wysnuwają się jedne z drugich, narastają, pchają w górę, ciągle w górę. Tyle ofiar już padło, czyżby miały pójść na marne? Nie, trzeba doprowadzić rzecz do końca — gdyby tylko wiedzieć gdzie ten koniec!... Król już wypędzony, król musi zginąć, wtedy dopiero narzędzie Najwyższego, Oliver Cromwell będzie miał bezpieczeństwo i swobodę działania. Parlament wczoraj „oczyścił" wierny pułkownik Pride. Co dalej?

Zamyślony, nieruchomo zapatrzony przed siebie, jedzie generał Cromwell dalej, coraz dalej. „Za nim, niby gromowa chmura, po same brzegi wypełniona piorunami i błyskawicami, gniewna armja toczy się ku miastu".

*

Cromwell ziemianin, Cromwell wierny człowiek partji, spisku zwalczającego tyranję. Cromwell generał na czele wojsk zbrojnie walczących z tyranją. Cromwell pogromca parlamentu i wreszcie Cromwell dyktator Anglji, zacząwszy od walki o wolność doszedł znów do tyranji, uwielbiany przez armję, na którą magiczny wpływ wywierał. „Przypadek, los, sposobność nieuchronna posuwają go naprzód" — pisze o nim znakomity historyk angielski Hilary Belloc [2]). Ostateczne zwycięstwo zostawia go w posiadaniu najwyższej władzy.

---

[1]) Mirko Jelusich: Oliver Czomwell. Przekład Marji Brzozowskiej. Warszawa, 1936 r.

[2]) Hilaire Belloc: Oliver Czomwell. London 1927 r.

Jest zmuszony ją sprawować, nie niechętnie, lecz cokolwiek oszołomiony posiadanemi możliwościami. Kieruje polityką wewnętrzną i zewnętrzną: pierwszą poprostu i despotycznie, mając na celu porządek w kraju i bezpieczeństwo własne; w sprawach zagranicznych cechuje go gest i emfaza, przy chwiejności ogólnego kierunku.

Nienawiść do stuartowskiej tyranji i do katolików, oraz ambicja osobista, nie zakreślająca sobie zresztą dyktatury jako ostatecznego celu do osiągnięcia — oto były główne sprężyny jego karjery. Nienawiść purytanina do katolików prowadzi go do zatraty umiaru w polityce wewnętrznej. Stawia sobie za cel absolutne zniszczenie tej patrjotycznej i pożytecznej części narodu i na drodze tej nie cofa się przed niczem. Pacyfikuje Irlandję ogniem i mieczem tylko z tego powodu. Wewnątrz kraju niszczy finansowo nienawistnych mu wyznawców rzymskiej wiary, nakłada na nich podatki, konfiskuje majątki, odbiera wszelki głos w sprawach publicznych. W stosunku do wszystkich innych odznacza się tolerancją, żydom, wypędzonym przez Edwarda I, pozwala wrócić do Anglji i osiedlić się w Londynie i Oxfordzie. Także i w polityce zagranicznej kieruje się przedewszystkiem nienawiścią do Stuartów, popierając Francję wzamian za obietnicę eksterminacji Karola II, którego postać była dlań przez cały okres jego dyktatury jak miecz Demoklesa. Skutkiem tego był dalszy wzrost potęgi Francji, która stała się znowu stałym i niebezpiecznym rywalem i wiele krwi kosztowała Anglję w czasach napoleońskich.

Do osiągnięcia pragnień i celów pomagały mu nieprzeciętne zdolności, które według Belloca polegały przedewszystkiem na „hypokryzji, sprycie, czy talencie dyplomatycznym, zależnie od tego jak chcemy to nazwać, pochlebnie czy niepochlebnie" i na nieprzeciętnym talencie wojskowym, raczej taktycznym, niż strategicznym, który polegał na mocnem poczuciu rzeczywistości, na zdolności improwizowania i na umiejętności podporządkowania sobie ludzi.

Upór przeszkadzał mu do osiągnięcia wielkich rzeczy zapomocą armji, którą rozporządzał. Będąc dowódcą kawalerji, nie uznawał innych broni i wszystkie kampanje obmyślał z punktu widzenia kawalerzysty, choć mógł łatwo rozbić wojska królewskie o wiele wcześniej z pomocą artylerji. Przeszkadzał tu też brak zdolności strategicznych — ułożenia planu kampanji. Nie znając dobrze warunków i sytuacji rzucał się naoślep w niebezpieczne imprezy wojenne i dzięki doskonałej taktyce potrafił zawsze wybrnąć z nich zwycięsko.

Doszedłszy do władzy przy pomocy wojska, potrafił się przy niej utrzymać, otaczając armję opieką. Najbardziej godne podziwu było to, że nie mając żadnego wojskowego wykształcenia i rozpoczynając swą karjerę na tem polu dopiero po czterdziestce, tak bardzo zdołał rozwinąć swe talenty, że w krótkim czasie objął faktyczne a później i formalne naczelne dowództwo i ze spiskowca i polityka przedzierzgnął się w lorda-generała. W miarę postępu czasu coraz bardziej zżywał się z rzemiosłem, z którem tak późno stosunkowo się zapoznał.

Umarł nie jako król, czy prawodawca, ani jako bogaty ziemianin jak się urodził, ale jako żołnierz; jako kawalerzysta, który nieco nieswojo się czuł bez zbroi i bez konia na dyktatorskim tronie Anglji.

Charakter jego tak określa Belloc: „Nie była to zbyt złożona natura. Sprzeczności w niej rzucają się w oczy tylko wtedy, gdy wyobrażamy go sobie jako kogo innego niż był w istocie. Gdybyśmy chcieli za wszelką cenę zrobić z niego bohatera narodowego, musielibyśmy ignorować, czy fałszować, czy też uciekać się do karkołomnych ewolucyj mózgowych celem wytłumaczenia jego znanych czynów, przemówień i sposobów postępowa-

nia, które go charakteryzują: nie nadaje się on bowiem zupełnie do tej roli. Chcąc dowieść, że był jakimś arcyłotrem w szatańskiej postaci, ośmieszylibyśmy się: nie dorósł on wcale do tej skali. Czemże więc był? Był to dość szorstki człowiek, szczerze przejęty emocjonalnemi dyspozycjami swego środowiska i klasy, z której pochodził, lubujący się, jak każdy człowiek, w praktykowaniu tego do czego miał najwięcej uzdolnienia i pociągu — tutaj więc żołnierskiego rzemiosła; przedewszystkiem zaś organizacji kawalerji i głównego dowództwa. Zdolności te odkrył i rozwinął tak późno, że zajęły go całkowicie i przesłoniły mu wszystko inne. Zresztą był to człowiek o bezpośrednim i gwałtownym sposobie wypowiadania się, jaki przyzwyczajenie do komenderowania wytwarza w takich naturach, a przedewszystkiem był tym, który znajdując się w coraz to nowej, nieoczekiwanej krytycznej sytuacji, ratuje się i przez to ciągle powiększa swą władzę, niezupełnie umyślnie, a napewno nie według jakiegoś nakreślonego planu. Za każdym razem ratował się tem, co nazwałem zależnie od tego jak to kto chece określać: sprytem, hypokryzją, czy talentem dyplomatycznym". Potrafił zawsze się tak urządzić, żeby nie brać odpowiedzialności za najważniejsze posunięcia w tym momencie, gdy ich wynik był jeszcze niepewny. „Oczyszczenie parlamentu przez Pride'a, uwięzienie króla, usunięcie innych dowódców z pozostawieniem jego samego w sztabie — wszystko to działo się za jego sprawą, ale bez jego udziału. Był zawsze tam, gdzie było zwycięstwo, choć nie zawsze zwyciężał. W takim wypadku jednak inni przegrywali za niego.

Najgorszą jego wadą było okrucieństwo. Używając bezwzględnych metod w walce z przeciwnikami, posuwał się dalej niż wymagała tego potrzeba, posługiwał się okrucieństwem, aby dać zastraszający przykład innym, którzyby się ośmielili z nim walczyć, ale także dla własnej satysfakcji.

Jak na purytanina odznaczał się wcale dużą skłonnością do bufonady, co mu dodaje człowieczeństwa i zyskiwało mu sympatję. Lubił grube żarty i używał mocnych wyrażeń. Musiał też mniej cierpieć z powodu pychy od innych, którzy się znajdowali w jego sytuacji. Miał momenty gdy był dobrym kompanem, lubił wypić, bawić się i żartować w towarzystwie dawnych towarzyszy broni; nawet pompa, jaka cechowała jego publiczne wystąpienia, miało źródło raczej w taktyce politycznej niż w wewnętrznej potrzebie. Do słabostek, jakie zwykle mają ludzie nawet najbardziej utalentowani — z powodu bardzo rozwiniętej wyobraźni należała przesądność, doprowadzana czasem do absurdu. Bał się panicznie i bezustannie zamachów na swoje życie.

Jełusich pisze jak co noc przygotowywano dlań dwanaście sypialń, aby do ostatniej chwili nie było wiadomo gdzie noc spędza. Stąd też źródło niezwykle rozbudowanej sieci szpiegowskiej w całej Anglji, a także zagranicą. Bano się mówić głośno, aby nie być dosłyszanym przez ludzi potężnego ministra Thurloc'a i nie być oskarżonym o zdradę. Thurloc wiedział wszystko o wszystkich, kartoteki jakie prowadził zawierały nazwiska

---

Komunizm to oszustwo żydowskie

---

wszystkich znaczniejszych ludzi w Anglji.

Cromwell, wódz nieustraszony, ów żelazny człowiek, który jak nikt inny ośmielił się przemawiać do parlamentu, w polityce wewnętrznej kierował się obawą więcej niż czem innem. W obawie przed przyjmowaniem na siebie pełnej odpowiedzialności utrzymywał stale parlament, choć go rozwiązywał ciągle, a wreszcie wprowadził doń samych swoich. We wszystkich swych poczynaniach zachowywał choćby pozory działania prawnego. Nigdy nie chciał się zgodzić na wprowadzenie stanu jawnej dyktatury. Utrzymywał żelazny porządek w kraju nie dopuszczając do żadnej swobodnej inicjatywy, stawiając generałów na czele hrabstw, rozwijając sieć szpiegowską, rujnując finansowo wszystkich przeciwników — wszystko dla zapewnienia bezpieczeństwa swemu stanowisku.

„Życie jego było jak ślepa uliczka — był podobny człowiekowi, który wdrapuje się na urwisko, aby uniknąć niebezpieczeństwa, czyhającego nań w dole i musi nieustannie iść w górę, bo nie może zejść na dół. Doszedł, sam nie wiedząc jak, do pełnej władzy wykonawczej, która — czuł to sam — przewyższała jego możliwości, nie znosił jej, był jej niewolnikiem. Utrzymywanie się przy niej sprawiało mu trud wielki; porzucenie jej byłoby ruiną nietylko dla niego, ale dla wszystkich. Umarł nie wydostawszy się z tego oplotu".

Był niewątpliwie patrjotą i zadowalał uczucia patrjotyczne własne i tych ze swych poddanych, którzy nie nienawidzili go tak silnie, by myśleć, że owo zadowolenie nie dorównuje cenie tych rządów; jeśli jednak chodzi o dokonanie czegoś, nie dokonał niczego. Błąkał się cały czas. Polityka zagraniczna wymagała wówczas doskonałej znajomości Europy, dużego doświadczenia, a przedewszystkiem trzeźwości i kierowania się racjonalnemi przesłankami, na to zaś ów kłębek nerwów, przepojony nienawiścią do Stuartów i katolików, żądzą imponowania i efektów wojskowych i zewnętrznych, zdobyć się nie mógł. Pragnął potęgi swego kraju, jak jej pragnęło dziewięćdziesięciu dziewięciu na stu jego ziomków, posiadanie przez krótki czas władzy i armji pozwalało o tę potęgę walczyć.

Zwycięstwa jego były jego klęską. Umarł po dziewięciu latach dyktatorskich rządów, 3 września 1658 roku, w samą rocznicę swych najświetniejszych zwycięstw nad wojskami króla pod Worcester i Dunbar, które oddały mu władzę w jego ręce.

Pozostawił u steru władzy niedołężnego syna i armję pozbawioną wodza. Po kilkunastu miesiącach chaosu i dezorganizacji kraju wjeżdżał triumfalnie do Londynu Karol II, wówczas symbol młodości, powrotu do tradycyj narodowych, władzy z woli narodu. Witany był owacyjnie. „Moja to własna wina, że nie przybyłem wcześniej"—rzekł z uśmiechem. — „Wszyscy naokoło mi powtarzają, że zawsze tęsknili za moim powrotem".

Obszerna biografja, pióra autora tak popularnej biografji Juljana Cezara umiejętnie maluje sylwetkę tej tak niezwykle ciekawej postaci dyktatora Anglji. Szereg momentów, jak słynna scena zjawienia się dyktatora w parlamencie, scena rozmowy z królem, scena śmierci, należą do najlepszych we współczesnych biographies romancées. Duży tom czyta się z niesłabnącem zainteresowaniem, mimo licznych usterek w przekładzie; poznaliśmy zeń i zrozumieliśmy wiele.

Andrzej Orzechowski.

Myśl Narodowa Nr. 16 — 1936 r.

Komunizm to zagłada Polski

Po obniżce ceny...

Są w naszym wywozie zagranicznym pozycje, które mają jeśli tak rzec można charakter tradycyjny. Przed laty stanowiły one znaczne sumy w naszym bilansie zagranicznym, następnie jednak malały, z roku na rok i dziś *są raczej symbolem eksportu, niż zjawiskiem realnem.* Do takich symbolicznych pozycji wywozowych należy z pewnością cukier. Poprzednio za artykuł ten przychodziły do kraju setki miljonów, jeszcze w 1931 r. sprzedaliśmy zagranicy cukru za zł. 80 miljonów.

Są to jednak piękne, ale minione czasy. Teraz roczny wywóz cukru nie sięga nawet 10 miljonów zł. Eksportujemy coraz mniej, *coraz mniej otrzymujemy pieniędzy za wywożony cukier.*

W ciągu pierwszych pięciu miesięcy b. r. wywóz cukru dał nam 3,2 miljona złotych, czyli w ciągu roku, jeśli tak dalej pójdzie, za cukier wywieziony z Polski uzyskamy niecałe 8 miljonów złotych.

Nie jest to suma duża, ale nawet i taka kwota nie byłaby do pogardzenia dla Polski, która wymaga bilansu handlowego ze znacznym saldem dodatnim, gdyby nie to, że nadal *ten eksport odbywa się kosztem polskiego konsumenta.*

Bo zważmy tylko, że średnia cena za kilo eksportowanego cukru uzyskiwana w zeszłym roku zagranicą wynosiła *10,5 grosza, teraz zaś pomimo zwyżki sięga zaledwie gr. 12.*

Oczywista rzecz, że jest to cena poniżej kosztów produkcji tego słodkiego towaru. Gdyby była ona równa kosztom produkcji, to wtedy po doliczeniu zysku dla cukrowni i podatku od cukru, powinnibyśmy i *my tu w kraju móc nabywać ten artykuł płacąc poniżej 70 groszy za kilo.*

Wiemy jednak, że do eksportu cukru dokłada się. *Wiemy, że koszt produkcji jest znacznie wyższy od tego, co płaci za polski cukier zagranica.* Oczywista rzecz, że tę różnicę pokrywa z własnej kieszeni polski spożywca, bo przecież nie czyni tego cukrownik. Z pewnością, gdyby cukrownie miały same dokładać do każdego kilograma wywiezionego cukru po kilkadziesiąt groszy, ten eksport ustałby już dawno.

Skoro jednak te straty pokrywa ogół polski — wywóz ten trwa nadal.

A sumy, które dopłacamy do eksportowanego cukru są znaczne. Gdybyśmy przyjęli, że mniej więcej do każdego kila wywiezionego trzeba dopłacić po 30 gr., to przy eksporcie tegorocznej kampanji cukrowej, t. j. od września do maja, kraj musiał dołożyć 20 miljonów złotych, co *w stosunku rocznym uczyni 25 miljonów.*

Jest to suma trzy razy większa, niż otrzymujemy za cały eksport cukru.

że te trzydzieści groszy dopłaty nie jest dalekie od prawdy można sądzić z ceny, którą liczą cukrownie za kilo cukru w kraju, twierdząc, że zarobki ich są minimalne.

W roku ubiegłym eksport cukru wynosił 30 proc. spożycia wewnętrznego, w roku bież. spadł poniżej 25 procent, nad czem zdaje się kraj specjalnie nie boleje.

W roku ubiegłym na jesieni cena cukru uległa obniżce. Odbiło się to odrazu na spożyciu. Gdy od września 1934 do maja 1935 r. spożycie cukru wynosiło u nas 2.407 tysięcy centnarów, to w tym samym okresie czasu w 1935-36 r. skonsumowano w Polsce 2.627 tysiący centnarów. A więc *spożycie wzrosło w ciągu jednego roku o prawie 10 procent.*

W tak znacznym stopniu nie zwiększyło się u nas spożycie żadnego innego artykułu pierwszej potrzeby. Dowodzi to, że pomimo tego, iż ludność wiejska w Polsce cukru dotąd prawie zupełnie nie konsumuje, można konsumcję jego wzmóc, *byle cena tego artykułu była choć trochę zbliżona do siły nabywczej ludności.*

Wszystko to, co przyczynia się do zwiększenia tej ceny powinno być usunięte. Jeśli zaś do eksportu musi konsument polski dopłacać po 25 miljonów rocznie, to należy się zastanowić, *czy nie byłoby lepiej, gdyby te 25 miljonów ludność nasza wydała na cukier, który spożyje sama, a nie zagranica.*

Z pewnością odpowiednia obniżka ceny cukru bez potrzeby pokrywania różnicy cen eksportowych dałaby lepsze skutki gospodarcze, niż dopłacanie grubych miljonów przez biedne nasze społeczeństwo dla wątpliwej satysfakcji wywozu, który nie ma realnego znaczenia w naszym bilansie handlowym. Może wtedy rzeczywiście cukier będzie krzepił nas: a nie obcych. E. S. S.

Na marginesie

Jedną z najcharakterycznie jszych cech obecnego okresu w Polsce jest zupełny brak oryginalnej twórczości politycznej i gospodarczej. Łączy się to z niezwykle zabawnem naśladowaniem zagranicznych pomysłów... w skali zmniejszonej. Wskazywaliśmy na przykłady tego objawu niejednokrotnie. Obecnie mamy przykład nowy, szczególnie zabawny. Gdzieś pod Wyszkowem w Rzęśniku na osuszonem bagnie założono państwowe łąki (w ciągu 5 lat 800 hektarów za 215.000 zł.). Z okazji ukończenia tego przedsięwzięcia zjechali tam: premjer Składkowski, ministrowie Kościałkowski, Poniatowski i Głuchowski oraz dyr. Loret. Prasa sanacyjna tę datę uczciła tytułami „Pan premjer na polskich „bagnach pontyjskich". Bagna pontyjskie, osuszone przez Mussoliniego, to cała nowa prowincja włoska. Polska ma swoje „bagna pontyjskie", równie jak tamte sławne, a nawet większe. Nazywają się one — bagna pińskie, lub krótko Polesie. Cała dysproporcja między tem, czego Polska dziś potrzebuje, a tem, co jej rządy robią zawiera się w przeciwstawieniu dwóch nazw: Polesie i Rzęśnik.

***

Konstytucja państwa wtedy tylko ma sens i wtedy tylko jest czynnikiem ładu prawnego, gdy odźwierciadla, możliwie wiernie, rzeczywiste stosunki ustrojowe w kraju. Nic więc nie było w tem dziwnego, gdy obóz majowy, po dokonaniu w Polsce przewrotu, postanowił, acz z ociąganiem się, uchwalić konstytucję nową, któraby pasowała do nowego stanu rzeczy.

Okazuje się jednak, że nowa konstytucja niemal tak samo odstaje od praktyki politycznej, jak odstawała konstytucja stara. Nie umiano w niej jakoś dać wyrazu prawnego temu czynnikowi władzy, który w terminologji prasy sanacyjnej, a ostatnio także w terminologji mów parlamentarnych nazywa się — „autorytetem".

Autorytet ten, według wielokrotnych oświadczeń prasy obozu majowego, przeszedł z Pierwszego Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych na jego następcę na tem stanowisku. Mamy więc w Polsce stan rzeczy, który nazwaćby można ustrojem hetmańskim.

Ale tego na wykładach prawa konstytucyjnego nie uczą. Uczą, że konstytucja kwietniowa w artykule pierwszym — to, w artykule drugim — tamto, a w artykule trzecim — owo. I studenci wkuwają. Dostają za to stopnie i dyplomy magistrów. To jest bodaj główny cel, dla którego stanowi się u nas ustawy.

Prosto z Mostu Nr. 26 — 1936 r.

INFORMATOR FIRM CHRZEŚCIJAŃSKICH

Ul. Piotra Skargi

Fryzjerski Zakład

Cedro Jan 41

Kuźnia

Adler J. 1

Magle

Ujazdowska Franciszka 76-b

Mydlarnie

Smyczyńska Józefa 64
Strzemieczna Zofja 39
Wąsala Aleksandra 8

Obuwie

Michalak Jan 32
Kaczmarek Józef 10
Skibiński Władysław 49
Siwoka Józef 41

Opał

Dalke Emilja 63
Polit Antoni 25
Stańczyk Eugenja 38

Sodowiarnia — owocarnia

Rembieliński Witold 62

Spożywczo-kolonj. sklepy

Marciniak Stefan 28
Kalisiak A. 35
Kornatko L. 55-a
Kuniecki Antoni 6
Kuczac Marja 53
Lewandowska Karolina 75
Panecka Genowefa 43
Pieńkowski Stefan 67
Sobolewska J. 3
Ujazdowski Antoni 67-b
Wielomski Antoni 15
Ziółkowski Karol 40

Węgiel — koks — warzywa

Ankersztein H. 1
Kopczyński Antoni 68

Wędliniarnia

Niewiadomska Genowefa 53

Ul. Radzymińska

Apteka

Muszyńskiego T. (J. Jakubowski) 87

Cukiernia

Lewiński Ignacy 1-a

Krawiecki zakład

Brzoska Stanisław 53

Mydlarnie

Fiedko Marja 139
Kuchta A. 119
Lipnicka Janina 1-a
Rozniakowski Stanisław 95
Zerych H . 68

Obuwie

Bobrewski Bronisław 64

Opałowe i budowl. materjały

Chojnacki Władysław i S-ka,
tel. 10.07-45 67

Oprawa obrazów

Korzeniowski Henryk 11

Owocarnia

Nowicka Marja 48

Piekarnia „Rossa”

Rossa Leon 26

Piśmienne materjały

Szymanowska M. 44

Szewskie przybory — skóry

Wieciński Tadeusz 46

Spożywcze - kolonj. - nabiał. sklepy

Borzyński Mieczysław 95
Gajewska Zofja 105
Gałązka Stanisław 107
Jochalska Marja 72
Lestuszi Marja 53
Matusiak T. 145
Grędzki Z. 23
Smardzewski Stefan 128

Wędliniarnia — mięso

Kornacka Kazimiera 127

Wina — wódki

Perłowska Józefa

Węgiel — warzywa

Grzymkowski Aleksander 108
Zadrożna Stefanja 13

Ul. Zielna

Techniczne biuro
Olszański Z. i Karwowski R. S-ka, tel. 6.07-34 — 25

Bar - Restauracja
Gnatowski D. tel. 2.22-77 — 40

Blacharski zakład.
Kierzkowski Roman miesz. pryw. — 34
tel. 6.39-55. — 24

Kawiarnia „Współczesna"
Brydek Jerzy — 8

Mydlarnia.
Krawczak Bolesław — 42
Malczyk Konstanty tel. 6.65-82 — 16

Obuwie - pracownia.
Górska Stefanja — 34

Opałowe składy
Goc Jan, tel. 5.25-70 — 2
Krawczyk Zofja — 42
Zalewska Janina — 30

Pralnia chem. i bielizny.
Krasuski Władysław — 27

Spożywcze sklepy.
Dobrowolski Władysław — 17
Polkowska Marjanna — 31

Ul. Sosnowa

Kawiarnia „Obywatelska„.
Kwaśniewska Stanisława — 13

Mydlarnia.
Kosiński Jan, tel. 6.72-06 — 1

Optyczna pracownia.
Janiszewski J. — 1

Ul. Ks. Ziemowita

Fryzjerski zakład.
Lausz K. — 40

Galanterja.
Gąsiorowska Helena — 40

Kawiarnia.
Samkowska Janina — 21

Mydlarnia.
Duranowski Stanisław — 20-a

Spożywcze - kolonj. sklepy.
Czarnecki Klemens — 20-a
Ganczarz Helena — 60
Janeczak Stanisława — 26
Kamińska Genowefa — (róg Rzecznej)
Majewska Helena — 19
Marciniak Wacław — 52
Nawrocki J. — 4
Piłacik Stanisław — 24

Wędliniarnia
Godlewski Feliks — 24

Wina — wódki.
Balling Cezary — 58

Prenumerata: Rocznie zł. 6. — Półrocznie zł. 3. — Kwartalnie zł. 1,50.

Adres Redakcji: Warszawa, Al. Jerozolimska 113 m. 15.
Wszelka korespondencja i przekazy: Warszawa I, skrzynka pocztowa 682.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny ROMAN CIEŚLAK.

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.